

Lwów i Wilno to miasta tęsknoty wielu Polaków. Lwowiacy ze swoim charakterystycznym humorem i przekazem mogą się równać jedynie z rodowitymi mieszkańcami warszawskiej Pragi. Niestety Lwów, może co prawda wolniej niż Wilno, ale jednak coraz bardziej oddala się kulturowo od Polski.

Wybraliśmy się w 2003 roku na majówkę na Roztocze. To piękna kraina naszego kraju i warta polecenia. Jednak jednym z naszych głównych turystycznych celów był Lwów, leżący od Krasnobrodu, gdzie kwaterowaliśmy, ok. 110 km, czyli ze dwie godziny jazdy.

Niestety całkowicie nieświadomi panujących obyczajów na granicy w Hrebennem dojechaliśmy tam przed południem, gdyż wydawało nam się, że spokojnie dojedziemy sobie do Lwowa w dwie godzinki, a mając kilka godzin na zwiedzanie miasta i zjedzenie sobie tam prawdziwego żarkoje, wrócimy sobie wieczorkiem z powrotem do Polski. Okrutna rzeczywistość pokazała nam szybko jakże się myliliśmy.

Na granicy, aby wjechać na Ukrainę spędziliśmy ok. 4 godzin. Okazało się, że potrzebne są jakieś karticzki nie wiadomo z czym, jakieś dodatkowe opłaty, ubezpieczenia, łapówki i Bóg wie co jeszcze. Latałem jak kot z pęcherzem od budki do budki, a to po jakąś informację, a to coś zapłacić. Stamtąd kierowali mnie gdzieś indziej i tak w kółko. Tak trafiłem nawet na drzwi oznaczone „Ż”, jednak okazało się, że to nie posterunek żandarmerii tylko żeński klozet.

W każdym bądź razie uzbrojony ostatecznie w karticzkę z napisanym odręcznie na niej numerem auta, opłaconym jakimś dodatkowym ubezpieczeniem i wypełnioną kartą z danymi pasażerów podjechałem kolejny raz do żołnierza w zielonym mundurze z kałachem, który wziął karticzkę i przy okazji parę banknotów z mojego portfela, marudząc, że to nie dolary, po czym skierował nas do swojego kolegi w czarny mundurze. Ten z kolei wziął formularz i kazał mi wysiąść z auta by załatwić formalności w budce. Niestety celnik tam urzędujący był tak zajęty, że trzeba było czekać kilkadziesiąt minut, aż się nami zajął. Sprawdził w końcu formularz, druk wpłaty, paszporty i oddelegował nas do swojego kolegi, który po kolejnych nastu minutach prześwietlił nasze auto i bagaże. Tak w sumie po kilku godzinach odprawy granicznej wjechaliśmy na upragnioną Ukrainę.

Cóż, za ulga, ale z drugiej strony zaczęliśmy się spieszyć, bo było już ok. szesnastej, a cały Lwów przed nami. Niestety droga była tak kiepska, że mogłem jechać najwyżej 50 km/godz. Po drodze widzieliśmy m.in. tak chudego konia w polu, że nazwaliśmy go „anorekoń”. Kilka kilometrów dalej zauważyliśmy dwóch chłopów, którym koń chyba wcześniej padł z głodu, bo sami ciągnęli płóg. Przecieraliśmy oczy ze zdziwienia, bo to było kilkanaście kilometrów od polskiej granicy, a tego typu widoki znaleźliśmy jedynie z filmu „Czterej pancerni i pies”.

Ciekawy był też przegląd mijających nas aut na ukraińskich rejestracjach. Było to albo nowe BMW, Mercedesy lub Audi, albo rozwalające się zaporozżce lub wołgi. Tak jakby klasy średniej w ogóle tam nie było.

Dotarliśmy wreszcie do Lwowa. Zaparkowaliśmy niedaleko Placu Mickiewicza i od razu szukaliśmy kantoru, bo nauczeni na granicy jak Ukraińcy lubią dolary (a nie jakieś tam złotówki czy hrywny), chcieliśmy wymienić na tę walutę przynajmniej część naszego budżetu, by mieć „marchewkę” w kieszeni. Zmęczeni podróżą musieliśmy też coś zjeść, by mieć siłę na późno popołudniowe zwiedzanie miasta. Wybraliśmy pobliską restaurację, zamówiliśmy jakąś zupę, bo osławionych żarkoi niestety nie było w menu i ... czekaliśmy ok. 30 minut, po czym wyszliśmy głodni, bo szkoda nam było tracić czasu na dalsze oczekiwanie.

Szukając jakiegoś punktu, w którym moglibyśmy coś kupić do jedzenia trafiliśmy na targ. Tam było oczywiście pełno ikon i matrioszek oraz handlarzy byle czym. Wzruszenie wywołała u nas żebrząca stara Polka, ubrana w łachmany, która płacząc prosiła o hrywny, bo zbiera na powrót do Polski. Nie wiem ile było w tym prawdy, ale było to dość smutne. Wciąż głodni kupiliśmy w końcu za posiadane hrywny (bo dolarami płacić się nie da i są tylko na datki dla celników) w napotkanym sklepiku spożywczym jakieś pieczywo i kawałek kiełbasy, zaspokajając tym nasze podstawowe potrzeby pokarmowe, po czym udaliśmy się na Wzgórze Zamkowe.

Wspinaczka na Kopiec Unii Lubelskiej usypany na wzgórzu zwanym też Wysokim Zamkiem, okazała się tak wyczerpująca, że na samej górze zabrakło nam tchu. Za to widok na panoramę Lwowa nam to trochę wynagrodził. Zejście było już mniej męczące.

Następnie zmierzaliśmy na Cmentarz Łyczakowski, gdzie pochowana jest m.in. M. Konopnicka, G. Zapolska i A.Grottger. Pod ich skromnymi grobami paliło się mnóstwo świec, co świadczyło o tym, że wielu Polaków tu zagłada. Zauważyliśmy, że na ukraińskich grobach nadal pielęgnowany jest zwyczaj pozostawiania zmarłym jedzenia. Dlatego wśród świec można było zobaczyć tam kawałki chleba czy jajka.

Przed wejściem na Cmentarz Orląt Lwowskich stoi monument z tablicą informującą o bohaterstwie ukraińskich narodowców, nie wiem, czy to specjalnie tak tam ustawiono, czy też nie, w każdym bądź razie jakoś dziwnie to wyglądało. Cmentarz Orląt wygląda za to jak wielkie białe domino z krzyży. Patrząc na nie, warto dowiedzieć się lub przypomnieć sobie dlaczego tam właśnie stoją, bo to miejsce jest wciąż kością niezgody między naszymi narodami (i niestety nie jedyną).

Niestety na Ukrainie chyba nie za bardzo przepadają za Polakami. I tu

nie chodzi tylko o celników na granicy, kelnerów olewających nas w restauracji, panie w sklepikach patrzące spode łba, gdy chcemy płacić dolarami, handlarzy na targu próbujących nam wciskać jakieś podrabiane lub kradzione ikony. Chodzi o to, że chyba patrzą na nas wciąż jak na „polskich panów”, którymi już dawno nie jesteśmy. Więc chyba sami mają z tym problem i pewne kompleksy, a wszechdostrzegalna bieda i zacofanie może to tylko potwierdzać. A może to my tylko tak to odczuwamy? Może to my mamy problem, chcemy być lepsi niż naprawdę jesteśmy? Przecież trudno się im dziwić, bo większość Polaków zachowuje się we Lwowie jak u siebie. A przecież część z nas też drażnią panoszący się Niemcy po Gdańsku, Wrocławiu czy Opolu, na Mazurach czy na Śląsku. Więc jak to jest naprawdę?

Snując takie rozważania wróciliśmy na Stare Miasto, gdy już zaczynało zmierzchać. Zrobiliśmy sobie fotkę oczywiście pod Pomnikiem Mickiewicza, córka połuściła się na placyku zabaw przed Operą i pochodziliśmy trochę po przyległych uliczkach podziwiając zabytkową architekturę. Zmuszeni byliśmy też zajrzeć do toalety w dobrze wyglądającej restauracji. Niestety, jak się okazało nie było w niej wody, więc musieliśmy skorzystać z zawartości naszej butelki z mineralną. Problem z wodą jest podobno jednym z większych problemów tego historycznego miasta.

Zmęczeni wróciliśmy do auta i udaliśmy się w drogę powrotną. Co nas spotkało na granicy nie będę tutaj opisywał szczegółowo, bo zabrałoby to zbyt dużo miejsca. W każdym bądź razie, w skrócie granica w Hrebennem to jest miejsce handlu paliwem i Bóg wie jeszcze czym, wymuszania łapówek za byle co, pogardy i niekończących się oczekiwań. Nie mając dolarów na łapówki, musiałem to jakoś odpracować, tłumaczyłem więc panu celnikowi jakieś formularze na język polski, bo większość Polaków nie zna ukraińskiego, a z centrali dostali druczki pisane tylko cyrylicą. Koszmar. Facet na każdym druczku ręcznie dopisywał polskie tłumaczenie. To dlatego nie miał czasu na odprawę celną.

Suma summarum po 3 godzinach nocnego czuwania na granicy wróciliśmy koło drugiej w nocy na kwaterę w Krasnobrodzie. Następnego dnia zastanawialiśmy się nad tym, jak to się u nas w Polsce pozmieniało, na lepsze. To był czas referendum unijnego i uznaliśmy, że ci wszyscy przeciwnicy naszej integracji z Unią Europejską powinni tu przyjechać. Nie mieliby wątpliwości jak głosować. Teraz z perspektywy czasu chyba to się tylko potwierdza. Podobno na tej granicy nic się zmieniło, łatwiej mają jedynie autokary, bo przewodnik robi zrzutę i załatwia wszystko hurtowo. Samemu lepiej się tam nie wybierać, chyba że ktoś lubi utarczki z celnikami i ma duuuużo czasu do stracenia.